

30 LAT



**Biuletyn
Otrycki**

33

JESIEŃ 2003

WSTĘPNIAK

Trzydzieści lat minęło jak jeden dzień. Tyle rzeczy wydarzyło się w tym czasie, w życiu każdego nas, i w życiu Chaty. To dobry czas do przemyśleń, refleksji, wspomnień, podsumowań. Czym jest Otryt? Na czym polega jego magia? Czy taka magia w ogóle istnieje? Czy może zaoferować mi coś dobrego, wartościowego dla mnie? A może kiedyś oferował przyjeżdżającym ludziom znacznie więcej? Na te pytania każdy z nas musi odpowiedzieć oddzielnie, bowiem tyle jest zdań, opinii na ten temat, tyle niepowtarzalnych historii Chaty ile osób gościła nasza Góra. Dziś możemy przyjrzeć się przemyśleniom kilkorga z nas - refleksje młodych Otryckich kotów przeplatają się z wizjami tych, którzy przyjeżdżają tam od dawna, a smutek i nostalgia przeplatają się z optymizmem i wiarą w przyszłość. Bo czymże jest Góra, jeśli nie mieszaniną naszych pragnień, marzeń, oczekiwań, spełnień ale i zawodów?

Małgosia Frankowska



Mój Otryt (pierwsza przymiarka)



Po raz pierwszy byłem na Górze (wtedy jeszcze się tak nie mówiło) w sierpniu 1975 r. Jeszcze stały Drzwi do Lasu (bramka z dyli na ścieżce od Chmiela, zwieńczona czaszką krowy), jeszcze nie było Odryty¹ ani Żółwia Piorunowego, a jedyną ozdobą szkieletu kominka było popiersie Lenina między dwoma gazowymi lampami. Spędziłem wówczas w Chacie tylko jedną noc - ale na Zaduszki byłem tu znów. I potem na Sylwestra. Przyjeżdżałem do Chaty na dłużej czy krócej przez dziesięć lat. Potem przestałem. Pojawiłem się dopiero na dwudziestopięcioleciu, szykowałem się na trzydziestolecie...

Pytacie², czy Chata się zmieniła, czy zmienili się jej ludzie? Cóż, Chata zrobiła się jakby przestronniejsza, za to jakby mniej przytulna, zwłaszcza przy złej pogodzie. A jej ludzie? Nie tyle się zmienili, co wymienili: nawet na „trzydziestoletniego” Barana nie przyjechał prawie nikt z Otrycjuszy pierwszego pokolenia. No i zmieniło się niemal wszystko wokół: otrycki las, Bieszczady, Polska. Las z tego wszystkiego chyba najmniej...

Pytacie, jak czułem się teraz na Górze? Dobrze się czułem. I głównie dlatego, że przyjechałem tu wcześniej, nie tylko na Barana, że pracowałem razem z innymi, rezygnując z planowanych wycieczek. A także dlatego, że Karolinie, której nie zdążyłem pokazać pierwszej Chaty, spodobało się na Górze; w miejscu i wśród ludzi. Więc pewnie będziemy tu wracać.

W atmosferze dwudziestopięciolecia było coś dekadentckiego, „kombatanckiego”, zwróconego ku przeszłości. Nie powiem, dobrze się bawiłem, ale jak pisał poeta „*było mi jałowo*”³. Trzydziestolecie było siłą rzeczy zwrócone ku przyszłości; gdyby nie to, nie byłoby sensu go organizować.

*

¹ Odryta (od obocznej formy *Otryt/Odryt*), to wymyślony bodaj przez Heńka Kliszkę herb Chaty: waż, opleciony wokół łopaty, symbol jedności wysiłku fizycznego i umysłowego. Słońce było dodatkiem Billa Ptasznika, autora tej kompozycji. Może warto powrócić do Odryty, jako symbolu prostszego i wyrazistszego od Sfinksa (nic mu nie ujmując, ani nie odmawiając mu miejsca), nadającego się np. na znaczek, wpinany w klapę? Wiem nawet, kto mógłby go odpowiednio opracować graficznie.

² Konkretnie Małgosia, „zamawiając” ten tekst.

³ Bohdan Drozdowski, *Sonet do sonetu*: „*Żeście rozbili w drzazgi rodne słowo, / Żeście zrobili zeń narzędzie drwiny, / Że wojujecie na gesty, na miny, / Bawię się z wami i jest mi jałowo*”. Ten wiersz, opublikowany w *Kulturze* (warszawskiej) w latach siedemdziesiątych, cytuję z pamięci; oczywiście nie odnoszę tego cytatu do braci otryckiej.

Nie opiszę tu, nawet w skrócie, moich otryckich przypadków, nie będę też streszczał artykułu, który właśnie ukazał się na łamach *Almanachu Karpackiego PŁAJ* (nr 26). Na pierwsze nie mam w tej chwili czasu, drugie miałyby niewiele sensu, tym bardziej, że tamten tekst też jest dość osobisty. Więc poprzestanę na garści wspomnień i refleksji, jaka zbierze się w toku pisania.

Nie byłem wśród pierwszych budowniczych. Ale miałem przyjaciół wśród mniej znanej, pozostającej poza otrycką legendę ich ekipy, skupionej wokół Stanisława Norberta Ostoi-Wasilewskiego, albo po prostu Norberta, jednego z koryfeuszy ówczesnego światka warszawskiej turystyki studenckiej. To od nich dowiedziałem się o Chatce (tak wówczas mawiano) i rezydujących tam dziwakach, śpiewających *Międzynarodówkę* i studiujących dzieła Lenina przy stole, pokrytym czerwonym płótnem⁴.

Przeszkadzało mi to mniej, niż im. Sam wówczas komunizowałem. I w sierpniu 1975 r., gdy siedziałem w bazie *Almaturu* w Zagórzcu (nie ma jej już, a szkoda), postanowiłem zajrzeć na Otryt. Podchodziłem od Chmiela, podziwiając bojkowskie chyże, z których część przetrwała do dziś, trudna do rozpoznania po przebudowach, a część została rozebrana. Zawsze potem najchętniej podchodziłem właśnie tą drogą, unikając podejścia z Dwernika, w tym czasie słabiej przetrartego, w paru miejscach mylnego.

Spodobało mi się. Może bardziej podczas następnego pobytu. Spodobało mi się miejsce, spodobała mi się atmosfera - bardziej może noszenie, klinowanie, piłowanie i rąbanie łupków bukowych (przyjemność, której nie zaznają nowe pokolenia Otrycjuszów), noszenie wody, picie wywaru z malin (suche łąty gotowane godzinami w czajniku - może warto to przypomnieć?), niż filozoficzno-socjologiczne dyskusje, spodobali mi się ludzie... No, przynajmniej większość. Nigdy nie byłem specjalnie towarzyski, a zwłaszcza „zabawowy” (dziś jestem może bardziej, niż kiedykolwiek przedtem), lubiłem się trzymać na uboczu - odstawałem od otryckiej braci.

Ale najbardziej ujął mnie i przywiązał widok, rozpościerający się z otryckich polan i tarasów Chaty: majestat Połoniny i górujący nad nią wiatą jesion. Ten widok był natchnieniem do wielu moich wierszy, pisanych w Chacie i w Warszawie, lepszych lub gorszych (w tym kilku najlepszych). Niektóre z nich trafiły w latach osiemdziesiątych do *Biuletynu Otryckiego*. A gdy w tym roku wróciłem na Otryt - po bardzo długiej przerwie znów zacząłem pisać (tj. pisać wiersze: pisaniem różnorodnych tekstów zajmuję się właściwie nieprzerwanie). I szkice, które przywoziłem do Warszawy, wyglądają całkiem obiecująco.

⁴ Ale nie - pod masztem z czerwoną flagą. Ten maszt ustawiliśmy we dwu z Tudem Rachowskim w czerwcu 1976 r. Sami też wycieliśmy na ten cel uszlą jodłę, gdzieś w rejonie późniejszej Arturówki (jeśli dobrze pamiętam).

Najdłużej byłem tu w 1976 r.: w czerwcu, potem we wrześniu i październiku. Razem z Tadeuszem Rachowskim. Wspólnie kosiliśmy i karczowaliśmy działkę pod warzywnik, wraz z innymi wycinaliśmy w pobliskim lesie suche drzewa na budulec i murowaliśmy fundamenty pod saunę (kawał dobrej, nikomu niepotrzebnej roboty...), już sam robiłem wypady w dolinę Sanu (w ruinach cerkwi w Hulskim były jeszcze deski spod kompletnie zmytych ikon-prazdników, a mur prezbiterium był zaledwie pęknięty...), 11 września zorganizowaliśmy wieczornicę w trzecią rocznicę śmierci Salvatora Allende. Może kiedyś opiszę to bardziej szczegółowo...

Godzi się tu sprostować istotny z mojego punktu widzenia błąd, który wkradł się we wspomnienia Wojciecha Sady⁵. To nie ja podpowiadałem mu lektury z Marksa. To musiał być Ted Rachowski. Ja nigdy nie byłem dość odczytany w klasykach, by układać plan lektur komuś innemu; on - tak. Prawda, byliśmy imiennikami, przyjaciółmi, obaj nosiliśmy brody (choć ja nie miałem łysiny) - ale żeby aż tak nas pomylić? A serio - przykro mi, że Ted „wyparował” z otryckiej pamięci. Może dlatego, że był z nami raptem jeden sezon? Ale jeżeli ja jestem na liście Budowniczych, on tym bardziej powinien tam być: zrobił dla Chaty dużo więcej, niż ja.

Aha, jeszcze to. W Chacie zawsze dużo czytano, i niekoniecznie Marksa. Ja poznałem tu między innymi *Niemyte dusze*, *Wolność od znanego* i - chyba tylko częściowo - *Traktat logiczno-filozoficzny*. Inna rzecz, że żadna z tych książek nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia: na Witkacego zawsze byłem głuchy, Krishnamurti przekonał mnie, że jego pogląd na świat jest mi najzupełniej obcy, dzieło Wittgensteina dało wiele do myślenia, ale nie przekonało: nie zamierzałem wyrzekać się intuicyjnego zaufania do języka. Czego innego zresztą można było oczekiwać po przysięgłym miłośniku twórczości Tolkiena, którym już wówczas byłem?

*

Na stronie Klubu Otryckiego można znaleźć zdjęcie restauracji *Pod Żubrem*, miejsca w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych „kultowego”, jak to się dziś mówi. Nie dla mnie - źle się tam czułem i rzadko bywałem. Sądząc po fryzurze i plecaku osobnika pierwszego z prawej, zdjęcie wykonano między 1978 a 1983 r.; to ostatnie wydaje mi się najprawdopodobniejsze. To ja jestem tym osobnikiem: tak się wówczas nosiłem, taki miałem plecak (tzw. tarnowski), pod koniec lat siedemdziesiątych już rzadko spotykany. Moich rozmówców nie potrafię zidentyfikować - może autor zdjęcia będzie ich pamiętał?

Dwadzieścia lat później nie ma już ani tej knajpy, ani

⁵ Wojciech Sady, *Mój Klub Otrycki*, na stronie *Taraki* [www.taraka.most.org.pl].

plecaka, włosy też jakby nie takie... Ani Chaty, którą



zapamiętałem. Jest inna, na razie cokolwiek wirtualna. W połowie czerwca pisałem dla PŁAJU: „...są szanse, by do jesieni - tak jak przed trzydziestu laty - gotowy był stan surowy oraz pomieszczenie dla zimującego gospodarza Chaty. Mam nadzieję, że się uda, że wraz z

trzydziestolecie narodzin Chaty będzie można uczcić jej odrodzenie.” Pierwsze się nie sprawdziło: uporaliśmy się zaledwie z fundamentami. Za to - jakimi fundamentami! Ale jeśli porównać łączny czas prac - udało się zrobić więcej, niż w 1973 r., gdy prace trwały całe dwa i pół miesiąca i brało w nich udział znacznie więcej ludzi.

Trochę dziwne mi było, że na trzydziestolecie nie było prawie nikogo z pierwszego pokolenia Otrycjuszy. Niby rozumiem ludzi w moim wieku, którym już nie uśmiecha się spanie pod namiotem, do tego we wrześniu... Ale nie do końca. Nieobecność Heńka Kliszki była - śmiem twierdzić - symboliczną abdykacją Otrycjatu. Tylko parę ich nazwisk znalazło się pod i wokół aktu erekcyjnego Chaty: Krzyśka Kazimierczaka, Heńka Dziewulskiego, Komisarza, moje... Trzeba będzie jeszcze znaleźć miejsce dla tych z nas, którzy mogą odwiedzić Górę już tylko duchem.

Ale Chata przeszła w nowe, młodsze ręce. Niektóre z nich, to ręce „drugiego pokolenia” w najściślejszym znaczeniu. Jak to ujął Kondor, pojęcie „budowniczy Otrytu” przestało być kategorią pokoleniową. I o mały włos nie stało się nim ponownie... Ale trochę nas, starych koni, wciąż tu jest. I nawet się do czegoś przydamy.

Warszawa, październik 2003

Tadeusz A. Olszański

Spojrzenie bez dystansu

Czytając i słuchając różnych wersji otryckiej historii, odtwarzając sobie różne odcienie tego zjawiska ciągle pozostaje interpretacyjny niedosyt. Ciągle za mało danych, by przeprowadzić rzetelną analizę, czy choćby próbę odtworzenia tego „jak było naprawdę”. Większość jest zgodna, że czasy się zmieniają, ludzie przyjeżdżają coraz to inni, a klimat już nie jest taki jak kiedyś... Ale przecież to chyba naturalna kolej rzeczy? Warto natomiast się zastanowić, co jest niezmiennie, co ciągle sprawia, że kolejne osoby stwierdzają, że trzeba zrobić wszystko, aby to zjawisko trwało, aby się nie rozplynęło w powszechnej polskiej niemocy istnienia.

Trudno mi zdefiniować to, co działo się na Otrycie, kiedy zacząłem tam przyjeżdżać. Pojechałem zachęcony Chata, w której nie ma prądu, nie ma wody, jest muzyka i całonocne śpiewanie. Na obozie zerówkowym w 1995 roku doprowadzaliśmy do szału Lenina sesjami „mafii” od godziny 23 do 6 rano. Popołudniami gadaliśmy o sensie życia grając w szachy lub w brydża. Nie przeszkadzały temu olbrzymie ilości alkoholu bynajmniej nie wylwane za kołnierz. Wszyscy byli razem. Nie miało znaczenia czy ktoś wykłada na uczelni czy kończy właśnie technikum. Nie miało znaczenia czy ktoś wypija 2 litry w ciągu wieczora czy jest abstynentem. Zastanawiam się tylko jak wytrzymywaliśmy w Kominkowej, gdy większość paliła jednego papierosa za drugim. Nie było przy tym żadnego zdefiniowanego celu. Jedynym sensem było bycie razem i wszystkim to wystarczało. Jedynym kryterium potrzebnym do akceptacji było robienie czegoś na rzecz grupy. Praca na wachcie, wyjście po zakupy, drewno albo wodę. I to działało. I wszystko grało.

Każdy następny wyjazd to dostrzeganie coraz większej ilości minusów, symptomów gnicia, kiszzenia się we własnym sosie pewnego środowiska. Może pierwsze zauroczenie było efektem zaskoczenia czymś innym, czymś nowym; wizją idyllicznego powrotu do leśnej, plemienniej, pierwotnej wspólnoty. Po tym jak pierwsze wrażenie traciło swoją otumaniającą moc, zaczynało się tutaj również dostrzegać te znane z „Dołu” układy, układziki, grę sił, walkę o wpływy. Tylko aktorzy byli inni i czasem obsadzeni w innych niż na „Dole” rolach. Nawet jeśli każdy z osobna się tego wypierał i będzie wypierał. Ale myślę sobie, że właśnie to unikalne połączenie, bliskiej sekcje emocjonalnej wspólnoty ze „społeczeństwem w pigułce”, dawało mieszkankę tak atrakcyjną dla kolejnych ciekawych świata osób. To nie do końca prawda, że na Otrycie ludzie zostawiali „miasto” „na dole”. Oni zostawiali tamte problemy, tamte układy, by na Górze trenować otryckie gry przetrwania. W Chacie okazywało się bowiem, że jednak można dojść do porozumienia, że różnica zdań nie musi skończyć się mordobicciem albo zamknięciem się w swoim ogródku. Że można razem funkcjonować mając na to funkcjonowanie nieraz zupełnie inne pomysły. Konsensus budowany był wobec jednej decyzji: chcemy być tu i teraz. Razem. Sposobem na realizację była

tolerancja i wspólne działanie w sferach egzystencji.

To prawda, że kiedyś więcej było dyskusowania, roztrząsania nierozstrzygalnych problemów, że więcej było życia, które można nazwać intelektualnym. To się skończyło, a raczej rozplynęło w myśleniu o konkretnych kwestiach dotyczących fizycznego przetrwania Chaty. Od połowy lat 90-tych coraz wyraźniejsza stawała się potrzeba uregulowania tych przyziemnych rzeczy w nowej kapitalistycznej rzeczywistości. Coraz bardziej potrzebne było zadbanie o fizyczny stan Chaty. Wobec powolnego rozsypywania się powiązań z Uniwerkiem, czego początkiem był (spowodowany głównie zbyt rozrośniętymi ambicjami ówczesnych aktywnych na UW jednostek przy całkowitej apatii pozostałych) zanik organizowanych w Chacie „zerówek”, a kulminacją wycofanie się UW z utrzymywania Gospodarza, cały wysiłek intelektualny tych, którzy myśleli, szedł w kierunku raczej mniej niż bardziej udanych prób zorganizowania czegokolwiek, co przyniosłoby Chacie tak potrzebne środki na przeżycie. Reszta czasu spędzana była na niekończącym się kończeniu rozpoczętych remontów i dyskusjach, co by można jeszcze zrobić. Nic dziwnego, że nowe osoby nastawione na tzw. intelektualne spędzanie czasu gościły na Otrycie coraz rzadziej, natomiast reszta pogrążała się coraz bardziej w delektowaniu się ogólną możliwością niemocą.

Zamknięte koło sprawiało, że nawet reanimacja Stowarzyszenia przez Baltazara, późniejsze uregulowanie spraw formalnych, drobne remonty, przeróbki, zbieranie funduszy na wymianę dachu, postrzegane było jako dalszy ciąg intelektualnego upadku. OK., wszyscy działamy, robimy coraz więcej, formalizujemy to, co powinniśmy sformalizować, ale co z tego? Jaki to ma sens? Jaki jest cel? Po co? Kiedyś ludziom o coś chodziło, o coś walczyli, łączyła ich jakaś idea, a teraz? Teraz łączy nas idea Odbudowy. A później? Czy ktoś tu jeszcze myśli o czymś więcej niż zabicie dwóch desek i napicie się wieczorem?

Moim zdaniem to poczucie jałowości, to efekt przyzwyczajenia. Faktem jest, że nie ma już tej atmosfery Rozmowy, Dialogu w takim nasileniu jak to ongiś bywało. Jednak jestem pewien, że te czasy wrócą. Nie będą to te same dyskusje, te same rozważania. Czasy definiowania tezy i antytezy, by zbudować syntezę odeszły bezpowrotnie. Weszliśmy niepostrzeżenie w czasy, gdy sztuka, rozrywka i naukowe myślenie przenikają się tak niepostrzeżenie, że będzie jeszcze sporo okazji i sporo tematów, by prostować splątane ścieżki postmodernizmu. Muszą być jedynie po temu warunki. Ktoś kiedyś stwierdził, że wystarczy zamknąć kilka inteligentnych osób na zamkniętej przestrzeni, zapewnić im zaspokojenie podstawowych biologicznych potrzeb i nie ma takiej siły, by po jakimś czasie nie powstało z tego COŚ. Nie twierdzę, że Otryt będzie kiedyś kuźnią wynalazków i idei – tym nigdy nie był. Ale gdy znowu będziemy mogli siedzieć cały dzień w kominkowej lub przed Chata, jestem pewny, że atmosfera krążenia pomysłów

powróci... Teraz jest czas działania. Fizycznego zwania szeregów, by zbudować Miejsce. Będzie czas refleksji i wtedy zobaczymy, czy potrafimy wyjść poza największą polską wadę nieumiejętności konsumpcji sukcesu. Ale na to jeszcze przyjdzie pora. Czas werbalizacji tego, co nas wszystkich łączy...

A czym dzisiaj, po kilku latach jest dla mnie Otryt? Jest miejscem możliwości. Jest miejscem wiary w to, że można. Nawet pomimo katastrofy. Jest miejscem, gdzie można zobaczyć mobilizację do wspólnego działania. Jest miejscem, gdzie można spotkać ludzi, którym też się chce. Jest miejscem, gdzie poznałem moją lepszą połowę...

Igor Czajka

Trochę przemyśleń.

*Wszelkie wspomnienia są złudne,
bo teraźniejszość nadaje im inne barwy.*

(Einstein)

Zawsze miałem takie podejście do minionych zdarzeń, stąd niechęć do wracania do historii, a jeszcze większa do jej opisywania. To co dzisiaj mogę powiedzieć o Otrycie jest tak dalekie od tego, co czułem i myślałem o tym miejscu parę lat temu i od tego co powiem za lat kilka. Takie podejście pozwalało mi nie wypowiadać się na temat Otrytu i zdarzeń, których byłem uczestnikiem.

Zawsze było jednak tak, że przyjeżdżałem na Otryt z chęcią, a wyjazd napawał mnie smutkiem. Teraz jest tradycją, której przestrzeganie sprawia mi coraz większą trudność. Nie szukałem wcześniej odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się dzieje. Może więc jak to opiszę, stanie się to bardziej obiektywne, a co ważniejsze nazwane. Może łatwiej będzie to zrozumieć. Postaram się najpierw trochę opisać historię, choć grozi to sentymentalizmem.

Znalazłem się pierwszy raz na Otrycie we wrześniu 1974 roku, w sposób bardzo prozaiczny. Roman Makowski mieszkał niedaleko Henryka Kliszki i znali się z podwórka. Natomiast ja oprócz studiowania w jednej grupie z Romkiem, wszystkie wolne chwile spędzałem głównie w Tatrach. Dostałem więc propozycję wyjazdu na Otryt.

To dziwne, ale dla wielu osób pierwsze podejście na Otryt, to jakaś droga przez mękę. Gubienie drogi, typowe skręty pozwalające oddalić się od celu, ale po paru/parunastu godzinach sukces. Miałem iść od Chmiela wzdłuż kolein zrobionych przez deta. Jedyną atrakcją była dziewczyna, która

szła ze mną. Straciła chęć do spacerów już przy pierwszej polance. Na drugiej zrobiliśmy długi odpoczynek na skraju drogi. Podałem jej jabłko, którego nie chwyciła. Kolejną stoczyło się daleko w dół. Pobiegłem za nim. Przyniosłem i tak 3 razy. Było to tak nierealistyczne, że utkwiło mi w pamięci. Jak twierdzi Joachim Biernacki, pierwszą rzeczą jaką zrobiłem w Chacie, to stwierdzenie, że jakoś tu dziwnie i że może jakaś buteleczka mogłaby zmienić percepcję tego miejsca. Pracowaliśmy głównie w sali kominkowej. Kładliśmy podłogę. Kijak (zdun) w chwilach trzeźwości budował kominek.

Nie rozumiejąc do końca tego miejsca stwierdziłem, że jeszcze wrócę i tak pomału zacząłem się do niego przyzwyczajać. To co mnie niewątpliwie zatrzymało na Otrycie to miejsce. Dalej w Polsce już jechać nie było można. Góry, przyroda. Ludzie miejscowi trochę nie z tego świata. Szybcy w definiowaniu przyjaźni czy wrogości. Człowiek zatracił gdzieś rzeczywistość. Zapominał o różnych problemach. A one z kolei nie mogły go na górze tak łatwo dopaść. I taka prosta recepta na życie. Trzeba robić tylko, co jest niezbędne do codziennego funkcjonowania.

Byłoby to na dłuższy czas nudne, gdyby nie ludzie. Zwykle czynności nabierały charakteru zabawy czy stawały się podstawą daleko posuniętych rozważań intelektualnych. Często bardzo niebezpiecznych dla samych wykonawców. Aż dziw, że nie doszło do większych tragedii.

Obozy naukowe - nie byłem zwolennikiem grupowych dyskusji. Może miałem zbyt mało do powiedzenia lub nie czułem potrzeby narzucania innym jedynie słusznych, własnych poglądów. Zawsze jednak znajdowałem moment, żeby porozmawiać i uzyskać odpowiedzi na pytania, które mnie nurtowały. I ta bezpośrednia forma kontaktów, bez tytułów. Liczyła się wiedza pokazana na miejscu i trafienie do ludzi w tych konkretnych warunkach. I jeszcze jedno, do czego było mi się trudno przyzwyczaić, a stało się symbolem tego miejsca. Bezpośredniość. Naturalność miejsca wywoływała podobne reakcje wśród ludzi. Na górze stawałeś się jednym z członków grupy. I to grupy, z której większością członków trudno byłoby się utożsamiać w innym miejscu. Stwarzało to warunki do indywidualizmu i pokazywania swojego charakteru. Ewentualny brak akceptacji odczuwało się po powrocie. Na Otrycie wszyscy byli razem. Uwagi, choć często denerwujące, były bardzo przydatne do samookreślenia i nie miały na celu wyrzucenia z grupy.

Niektóre osoby tego nie wytrzymały. Nie znajdowały recepty na brak intymności, ciągłą specyficzną presję i na Otryt nie wracały.

Nauczyło mnie to tolerancji, pomimo mówienia wprost co mi przeszkadza oraz pokonywania własnego lenistwa i wykonywania różnych prac, często z racji wcześniejszego wstania czy poczucia, że mogę je wykonać trochę lepiej, mniejszym nakładem

energii czy szybciej od innych (inni też mieli takie podejście, nie dotyczyło to osób zwolnionych z obowiązków). I trudno mi się tego oduczyć. A czasy się zmieniły.

Od kilku lat Otryt ewoluuje, tak jak nasze społeczeństwo, w stronę egoizmu i specyficznego rozumianego dobra jednostki. Inni są nieistotni, ma być dobrze mi i ewentualnie wąskiej grupie znajomych. Można innych zaakceptować, o ile nie przeszkadzają lub są pomocni do realizacji tego celu. Takie podejście jest dla mnie zrozumiałe w Warszawie, na Otrycie niestety nie. Wiem, że mogę zachowywać się tak jak większość, czasem sobie nawet to udowadniam. Jednak się z tym nie utożsamiam, a stare przyzwyczajenia siedzą we mnie głęboko. Zwrócić uwagi nie można, gdyż odbierane jest to jednoznacznie, jako atak na przyjęte reguły i osoby, które je wprowadziły (po co analizować treść uwag, trzeba je odrzucić. Jak? Biorąc pod uwagę mój wiek, bardzo łatwo o wygodne argumenty). Logiczny jest więc efekt - odrzucenie lub agresja.

Tworzy się rzeczywistość małych grup, o zachowaniach przeniesionych z innego miejsca, akceptującą tylko ludzi o podobnych poglądach.

Szczerze mówiąc nie przeszkadza mi to najbardziej. Przecież można się do tego przyzwyczaić, a nawet traktować jako niezłą zabawę. Patrzenie na ludzi przy ognisku, jak trafia do nich kilka krążących butelek wódki. Która w lewo, która w prawo? Rozwiązują ten problem jak umieją. Szybka wymiana w wąskim gronie i trudna sytuacja jest poza nimi.

Czy musi mi przeszkadzać specyficzny bezwład i bałagan? Przecież to takie wygodne. Kiedyś ktoś to posprząta i zrobi co niezbędne do codziennego funkcjonowania.

Chatę warto odbudować. Zrobi się to wcześniej czy później. Po imprezie lepiej jest przecież regenerować siły w miejscu suchym i ciepłym. To jest takie logiczne.

Tak jak dla mnie potrzeba napicia się piwa nad Sanem w dniu przyjazdu na Otryt. Wcale mi to nie przeszkadza, że do jej realizacji przejeżdżam 460 km.

A jak jeszcze udałoby się w Chacie zrobić miejsce spotkań miłośników jednego z klubów warszawskich, z którym od wielu lat sympatyzuje, byłoby fantastycznie.

Na wszystko więc można patrzeć optymistycznie.

Co leży więc u przyczyn mojego dziwnego zachowania? Spłonęła Chata, do jej odbudowy potrzebne są środki. Mam kontakty, które można wykorzystać do zdobycia sponsorów. Zaczynam działać, ale bez przekonania i konsekwencji. Znowu zryw i następna z mojej winy niewykorzystana sytuacja.

Taka niepewność w działaniu już mi się zdarzała, ale miało to miejsce przed wieloma laty. Nauczyłem się jednak, że skoro się już coś zaczęło, należy konsekwentnie dążyć do pozytywnego zakończenia.

Mam więc chyba problem z samookreśleniem, bo chyba na dziedziennicy jest jeszcze za wcześnie. Skoro jednak historia lubi się powtarzać, pozostaję z nadzieją na powrót do zachowań, które zatraciłem.

A to co napisałem może tak podsumuję - „wszystkie słowa są prawdziwe, wszystkie słowa są fałszywe. Ale cóż istnieje bez słów”...

Krzysztof Kazimierczak

Czym jest dla mnie Otryt?

Powiem szczerze, że trudno mi jest napisać ten tekst. Dzieje się tak z powodu śmierci Tomka Czuby. Śmierć ta dotknęła mnie swoją bliskością i namacalnością. Nie byłem z Tomkiem w bliskiej relacji, ale bardzo dobrze zapadło mi w pamięci jego entuzjastyczne podejście do Otrytu i duża w ogóle radość z życia. Jego odejście w specyficzny sposób uzmysłowiło mi, czym jest dla mnie Otryt. Otóż jest on dla mnie wspólnotą, grupą ludzi, dzięki którym nauczyłem się wielu rzeczy. Na Górze miałem kontakt z kilkoma „specyficznymi” nauczycielami. Specyficznymi, bo uczyli, a rzadko kiedy wystawiali oceny. Jak już jakąś wystawili, to zawsze w dobrej wierze i w celu nauczania mnie czegoś. Nie są to też ludzie, którzy robią to świadomie. Ot po prostu są. I to ich bycie, ich zachowanie, sposób myślenia bardzo wiele mnie nauczyło (już nauczyło, a mam nadzieję, że ten „uniwersytet” się nie skończy). Nie chcę wymieniać nazwisk (nie o to tu chodzi, to po pierwsze, a po drugie jest ich bardzo dużo, więc mogłyby się tu nie zmieścić). Wiem, że jedni uczyli mnie spokoju, którego tak często mi brakowało, gdy wchodziłem z dołu na Górę. Inni uczyli mnie konsekwencji w postępowaniu. Inni zaś w specjalny „ojcowski” sposób pokazywali mi (i pokazują cały czas) jak się zachować w sytuacjach, które mnie przerastają. Na szczęście znaleźli się też przyjaciele, którzy pokazali mi jak się bawić, oderwać od rzeczywistości i dać na chwilę sobie i innym spokój. Nie muszę dodawać (ale na wszelki wypadek dodam), że ludzie Ci są dla mnie najbliższymi przyjaciółmi przy których czuję się najlepiej na świecie. Wszystkim Im bardzo dziękuję i wyrażam wielką wdzięczność. Wierzę (jestem tego prawie pewien), że nauka ta i przyjaźń się nie skończą i będą trwały tak długo jak nam wszystkim sił starczy. Sił potrzebnych do przyjeżdżania Tam i bycia razem. Bo mój Otryt to miejsce, w którym jesteśmy razem i dajemy sobie to co

najlepsze w nas.

Jan Wasilewicz

Dziwnie spokojny

Gocha! Dlaczego ja? Dużo młodzieży w klubie, sprawni w pisaniu też, spostrzegawczy. Sprostają twojej propozycji napisania kilku słów. Przecież nieważne jest kiedy wlaźło się na Otryt, dwadzieścia, dziesięć lat temu czy dwa miesiące. Wspomnienia są od pierwszego kieliszka, wachty w kuchni, pierwszej nocy bezsennej obok chrapiącego Don Gore. Wiele osób nieświadomie wdepnęło w nasze środowisko i będzie nosiło piętno Chaty do końca dni swoich. Zawiódł instynkt samozachowawczy! Miało być wesoło i śpiewnie. Wieczorami gitara i "w karczycho", panienki "świeżynki". Co roku nowe pokolenie zakochujących się w Bieszczadzkiej jesieni.

Złożyłem samokrytykę - publicznie, "na Górze". Przeprosiłem za brak mojej wiary w młodych otrytczyków. Tony pustaków, worki z cementem, piasek, woda i Rudego Betoniarka...(ja dołożyłem ścinkę drzew). Wysilek mógł chłopca "złomić"!

Młode pokolenie pracując i pijąc budowało nową - starą Chatę (jak w jugolskiej piosence). Wieczorne wycie przy akompaniamencie gitary skutecznie odstraszały złe duchy z ostatnich lat. A kobitki tyrały! Wszystko w porę i gorące! (Jak w dawnych relacjach Jurusia Sz., Henryka K.) Tylko późnowrześniowe poranki należały do mnie. W towarzystwie Ralfa i Krzysia przez dwie godziny snuliśmy wspomnienia, czujnie wypatrując pojawienia się pierwszych zmarzniętych "budowniczych". Poranny warkot silników "pszczołki" i ciągnika rozpoczynał nowy radosny dzień. Atmosfera czystego socrealizmu - gofra, lodu i do roboty!

Po raz pierwszy od wielu lat jestem spokojny o przyszłość Chaty. Wiem, że któregoś ranka nie będzie mi się chciało wyleźć ze śpiwora, a i tak ktoś posprząta i w kuchni rozпали ogień.

Gocha! Trzydziestolecie Chaty przed nami. Wiele instytucji i organizacji społecznych w Polsce nie miało szans, by przetrwać tak długo. Żadne konflikty nie zniszczą długoletnich przyjaźni otryckich, wypracowaliśmy "mechanizmy" obronne. Pewien jestem, że wielu emigrantów z grona otryckiego z czasem powróci. Z upływem czasu ludzie łagodnieją. Balti znajdzie nową "niszę" dla spożytkowania swojej energii, a Rudy nową ukochaną Betoniarkę. Igor podleczy swoje wrzody (przypadłość introwertyków), Juruś Sz. odzyska głos, a Ralf pozbędzie się depresji. Kiedy rozpalimy pierwszy ogień w kominkowej, niestraszne będą nam nowe ustalenia unijne, polityczne kłótnie. Będziemy u siebie. Tylko proszę, dopilnujcie aby Biniek wstąpił do Straży... Pożarnej!

Komisarz

Diamenciki

Zbiegaliśmy kiedyś bladym świtem w sierpniu z Otrytu do Chmiela z niejakim Lechem Gołackim, pseudo Magister Świnia (też zabawna historia wstawiony koleś mówi do Lecha - ty to jesteś jednak świnia! Może i jestem, ale z tytułem magistra!) i w całkiem nieromantycznym miejscu, na drodze między górnym Chmielem a krzyżówką, nagle wylazły z lewej strony chmurki. Różowe, zielone, fioletowe, żółtawe. Patrzyliśmy na nie w zachwycie kilka minut a potem Magister Świnia pokręcił głową: Ale kicz!

Nigdy potem takiego "kiczu" już nie widziałem.

Norbert Wasilewski

„Chata to nie wszystko”



Znowu sprawdza się maksyma: co masz zrobić dzisiaj, zrób jutro, a najlepiej za tydzień. W związku z powyższym tekst ten piszę na kilka godzin przed zamknięciem kolejnego numeru „Biuletynu Otryckiego”. Bywa. O czym miał on być? O Otrycie? Moich wspomnieniach z „Chaty Socjologa”? Ok. Zacznę od samego początku początków.

Na Otryt trafiłem dzięki kobiecie, dzięki Otrytowi poznałem swoją ukochaną kobietę i dzięki kobiecie w dalszym ciągu mogę jeździć na Otryt. A było to tak...

Wszystko zaczęło się w 1999 roku. Nie był to dla mnie zbyt szczęśliwy czas. Kilka miesięcy wcześniej rozstałem się z dziewczyną, z którą spotykałem się przez ponad pięć lat. To było bardzo niefortunne. Ona odmówiła współpracy, którą ja chciałem kontynuować. Ewidentny konflikt interesów. Jak prawdziwy mężczyzna byłem twardy i zupełnie nie rozpaczałem... Zacząłem spotykać się ze znajomymi, o których prawie zdażyłem zapomnieć. Stałem się stałym bywalcem eleganckiego lokalu o nazwie „Dwunastka” przy Noakowskiego, spędzając tam upojne wieczory. Tak się złożyło, że w tym samym czasie odmówiły współpracy również inne kobiety. W ten sposób powstał tzw. klub samotnego mustanga, czyli klub porzuconych samców. Doborowa trójca. Ja, Krzysiek Guzek i Paweł Szymański. Na jednym z naszych spotkań klubowych Krzysiek zaczął opowiadać, o tym w jaki sposób poznał swoją byłą. Fantastyczne mieliśmy tematy rozmów, prawda? Mniejsza o to. Okazało się, że poznali się w „Chacie Socjologa”. Nie chciało mi się w to wierzyć. Fajna w sumie dziewczyna mogła jeździć w takie miejsce? Przecież tam przebywają same mutanty i ludzie z delikatnym odchyłem. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że może i ja się tam odnajdę.

Akurat zbliżał się maj. Jakoś tak się zgadało, że z wydziału (IS) wybiera się na Otryt mocna ekipa - Igor Czajka, Paweł Szymański, Marek Grabowski, Michał Tober i inni. Słowem elita. Sól ziemi polskiej. Postanowiłem do nich dołączyć.

Podróż była ciężka. W jednym z artykułów publikowanych na łamach Biuletynu opisuje ją Marek Grabowski. Powiem tyle: podejście na górę zajęło nam około 7 godzin (sic!). Dodam również, że nigdy więcej nie przyszło mi do głowy taszczenie do Chaty skrzynki browaru w butelkach.

Pierwszych wrażeń nie pamiętam. Było ciemno i niewyraźnie. Coś chyba Baltazar nie chciał dać nam noclegu. Nam - strudzonym wędrowcom! Cóż, za kołnierz na Otrycie nie wylewałem. Zresztą taki był cel moich pierwszych wypadów w Bieszczady. Potem zaczęło się wszystko zmieniać. Alkohol zszedł z planu pierwszego. Stał się jedynie dodatkiem, uzupełniającym dobrą zabawę. Poznałem lepiej ludzi. Odnalazłem klimat, który pozwalał mi zapomnieć o Babilonie i pędzie wielkomiejskiego życia. Dawał wypoczynek i nadawał pewien sens mojego marnego żywota. Nie umiem sobie teraz tego do końca wytłumaczyć na czym to polegało. Miejsce, jakich setki na ziemi, a jednak przyciągało. Nie przyciągało przez swoje piękno, unikalność, kultowość, czy surowość warunków bytowych. Przyciągało, bo klimat tego miejsca tworzą ludzie niezwykli. Często zdrowo rąbnięci, spaczeni, humorzaści, z kompleksami, w różnym wieku, a jednak niezwykli. Dzięki nim chciałem i chcę tam wracać. Sama Chata to tylko materialny byt, który bez nich nie ma w sobie niczego nadzwyczajnego. Dzięki tym ludziom posiada swoją duszę, historię, tradycję i w końcu niepowtarzalny klimat. Moja teza w pełni potwierdziła się, kiedy jednomyślnie podjęliśmy decyzję o odbudowie naszego „schronu turystycznego” (tak stoi napisane na zezwoleniu na odbudowę...) i pospołu, krok po kroku zaczęliśmy realizować nasze postanowienie.

O Otrycie muszę wspomnieć jeszcze w kontekście jednej sprawy. Byłem święcie przekonany, że nie ma takiej możliwości, żeby znaleźć tam partnerkę na całe życie. A jednak... To był maj 2001 roku. Pojawiła się Kasia, wtedy jeszcze Wasilewska z koleżanką. Śmiesznie, bo o tym, że zawitała w Chacie zrządził czysty przypadek. (W tym miejscu mojego tekstu może oburzyć się Artur Wójcik. Dobrze, więc. Artur trochę przyczynił się do tegoż). Widzieliśmy się właściwie tylko przelotnie. Nic nie wskazywało na to, że półtora roku później staniemy na ślubnym kobiercu i dołączymy do grona małżeństw otryckich. Jak dotychczas jesteśmy szczęśliwi i nic na to nie wskazuje, że będzie inaczej. Od pamiętnego 2001 roku do tej pory na Otryt przyjeżdżamy razem.

Na zakończenie chciałbym jeszcze przytoczyć krótką dykteryjkę. To był wrzesień 2001 roku. Do „Chaty Socjologa” postanowiliśmy z Kasią zaprosić naszego przyjaciela Jakuba. Wszystko zapowiadało się pięknie. O świcie dotarliśmy do Dwernika. Kuba zawiesił niedbale swój stelaż. W jedną rękę wziął śpiwór i piwo, w drugą – papierosa. Podchodzimy ścieżką pod górę. Nagle słyszymy z Kasią klapnięcie i głośny krzyk „k...wa!”. Kuba właśnie leżał u podnóża Otrytu przeklinając na wszystkie znane mi sposoby błoto, które powstało po niedawnym deszczu.

- Gdzie wy mnie prowadzicie?! K...wa, fajek mi zgasł. Daleko jeszcze?! – Tu nastąpiło drugie klapnięcie. Tym razem Kuba stwierdził, że najwyższy czas schować śpiwór do plecaka i dopić piwo. Idziemy. Nagle...
- K...wa, zapomniałem ładowarki z samochodu.
- Ale po co ci ładowarka? – dopytywałem trochę z ciekawości, trochę dla jaj.
- Jak to po co? Do telefonu.
- Ale tam nie ma prądu...
- Jak to nie ma?! K...wa, dlaczego mi tego nie mówiłeś wcześniej?

Dochodząc do trzeciego przystanku postanowiliśmy zrobić przerwę. Kuba był wyraźnie nieszczęśliwy. Ale to nie był koniec jego koszmaru.

- Ale jestem spocony i brudny. Przychodzimy i od razu włączę pod prysznic – marzył Kuba.
- Tylko, że tam nie ma prysznica, ani ciepłej wody... – uświadomiłem po raz kolejny kolegę.
- K...wa! Jak to nie ma?! Ja pier..., gdzie ja jestem...

Wreszcie dotarliśmy do Chaty. Większość jeszcze, bądź już spała. Cichutko weszliśmy we trójkę na „ogólną”. Ja z Kasią zajęliśmy miejscówki na górnej pryczy. Kubie wyznaczaliśmy spanie pod nami. I tu nastąpił epilog naszej wspólnej podróży.

- K...wa! Ja pier... – krzyczał Kuba przerażony widokiem, który ukazał się jego oczom – Tu leży gość z jajami na wierzchu! Z prawdziwymi jajami! Jak Boga kocham! Spojrzeliśmy z Kasią w dół. Pod nami leżał kolega R z założonymi w specyficzny sposób majtkami i spodniami... na kostkach.

Kuba więcej na Otrycie się nie pojawił i, jak deklaruje, nie zamierza.

Michał Aleksandrowicz